

21. DO SŁOŃCA!

Kosów, w sierpnia 1907.

Najdobrotliwsze, serdeczne słońce. Podłożywszy pod głowę zdjęte ubranie, osłaniam oczy od promieni i grzeję się. Poddaję się słońcu z wiarą, że to, co wszystkiemu życie dało — i takie piękne życie — odrodzi mnie. Słodycz ciepła przenika ciało, myśl zrzeka się ruchu na rzecz uniwersalnej pracy duchowej w przyrodzie...

Po kwiatach koniczyzny potrzaskuje konik polny. Trawy i drzewa chwieją się od wiatru. Oblatuje mnie oddechem ziemi jego podmuch ciepły i wonny, otula ciało przezczystą tonią powietrza. Odkąd matka usypiała mnie w swem objęciu, nie było mi tak dobrze.

Jestem tu swój, nie dziwią mi się drzewa, które, przemagając siłę ciężenia, wybiegają od ziemi ku słońcu... Czy jest na świecie co piękniejszego od drzew? Nanowo przyglądam się im i zdaje się

pierwszy raz wzrusza mnie ich piękno: kobiecy urok brzozy, muskularność grabu o żelaznym pniu, skromność leszczyny, nawet wrażliwość osiki, drżącej talarkami liści.

Przezysta i soczysta ich zieleni tworzy z tłem lazuru najnaturalniejsze zestawienie barw. A jednak nic podobnego nie uszłoby w świecie kultury estetycznej. Ktoby z t. zw. ludzi smaku ubrał się w ten sposób?

— — — — —

Z mego samotnego wzgórza przez koronkę gałęzi, gdy się wpatrzeć, widać po drugiej stronie doliny drogę. Poznać ją łatwo po ruchomych plamkach przechodniów, których czyste powietrze dziwnie zbliża dla oka.

Oto huculi ciągną z gór. Połyska, jak złoto, żółty zawój na głowie kobiety, jarzy się czerwień spodni hucuła. Kobieta siedzi na koniu, założywszy nogi na sakwy, któremi koń objuczony. Mijają jak widmo. Oto znowu koń, objuczony górami nowych konwi. Jakiś bednarz dostawia towar do miasta. Szedłem kiedyś za takim huculskim konikiem z konewkami i do dziś mam w uszach rytmiczne ich skrzypienie. Kołysze się to na koniu miarowo i skrzypi monotennie, nawet smutnie. Bo mimo woli widok tego towaru nasuwa refleksje ekonomiczne. Bednarz odda go za byle co pośrednikowi; ten dopiero zarobi.

Wogóle hucuł zarobkujący, hucuł sprzedający, pożyczający — to jakieś nieporozumienie dla hucuła z góry niekorzystne.

»Dla hucuła niema życia jak na połoninie...« — tak się jeszcze śpiewa popularnie. Ale i tam podmywa go potęga nowego życia ekonomicznego, którego on nie rozumie. Na połoninie żydzi robią już masło i bryndzę. Za kawałeczek sera turysta płaci jak w mieście, chyba że trafi na szałas huculski; — tam podejmowany będzie gościnnie, hucuł grosza od niego nie weźmie.

Za to hucuł bardzo jest malowniczy, zręczny i odważny. Ktoby potrafił wiązać tak tratwy, jak on, i spadać po nich Czeremoszem z Burkutu po pas w wodzie wodospadami?

Tak. Ale po równej rzeczce spławiają teraz drzewo żydzi także. Może nie tak wdzięcznie.

Wszystkiego można się nauczyć...

Pytałem się raz na wycieczce proboszcza, skąd się wzięły osobliwe wśród hucułów stosunki, że grunty i połoniny przechodzą w ręce żydów. Ni to dzierżawa, ni zastaw. Gazdowie biorą gotówkę jakby tytułem tenuty dzierżawnej, to znów pensji rocznej, a zawsze na to wychodzi, że owa gotówka jest pożyczką. Plony, zbierane przez żydów, liczą się na procenty, kapitału hucuł nigdy nie spłaca — i ziemia przechodzi wkońcu do żydów.

Otóż to. I huculi nie rozumieją, jak się to dzieje. Sprawa jest trudna. Hucuł pragnie ziemi,

ale lubi używać, nęci go gotówka. Zasady i niebezpieczeństwa procentów nijak zrozumieć nie może. Całe życie coś spłaca w naturze — zbożem, krowami, a w końcu gdy dojdzie do sądu, pokazuje się, że kapitał pożyczony nie zmniejszył się. Wszystko jedno, czy się zacznie od 20 guldenów, czy dwustu...

A przytem — opowiada ksiądz — takie przejście własności do żydów bywa starym gazdom nie raz na rękę. Prostu szukają u żydów opieki. Stosunki w rodzinie bywają przykre. Dzieci czekają na schedę zbyt niecierpliwie; starzy żyją dla nich za długo. Bywa tak, że stary gazda, który ma grunt, wprost obawia się dzieci. To nie żarty, bo (uważa pan — tu ksiądz oko przymrużył) oni tu znają takie zioła, że stary ani się obejrzy, kiedy mu się słabo zrobi. To też, jeśli źle w domu, to gazda woli zrzec się gruntów — żyd mu płaci pensję i jest spokojny. Ma na tytoń, rodzina pracuje cierpliwie...

Mój syn dziesięcioletni przyjaźni się z Wasylem, czternastoletnim synem sąsiada; wysłuchuje jego zwierzeń, między którymi była też historia ziemi jego ojców. Obaj radują się, że rodzice Wasyla, mający dziś prawo tylko do chaty z ogródkiem, za rok odzyskają i grunta, uprawiane teraz przez żyda. Aż mi przykro dzielić się ze swojemi wątpliwościami.

Wasył jest chłopcem miłym i szlachetnym

w obejściu — wszyscy go lubimy. To też podwójną przykrość sprawiło nam to, co opowiadał wczoraj memu chłopcu. Poprzedniego dnia wykradł się z domu na wieś i wrócił stamtąd pijany. Matka poczuła to po jego oddechu i gniewała się, ale on nie wie, co się potem działo, bo był nieprzytomny. Gdzie się upił? Oto jest na wsi utrzymywany przez żydów tajemny szynk, zwany »jamką«, gdzie można dostać na kredyt wódki, piwa i araku. Każdy ma tam swoją deseczkę dziurkowaną, w której kołeczką oznacza się należność. Wasylowi pozwolono skorzystać z kredytu ojcowskiego...

— — — — —

Wszystko zresztą tutaj w górach jest malownicze. Widziałem ciągnące tą górską drogą pogrzeby: chorągiew, obraz, ksiądz na bryczce, trumna na noszach nad głowami, lud ze świecami...

Pogrzeby wiejskie są stokroć smutniejsze, niż w mieście. Dla ludzi wiejskich to jedyny obraz ponury. Zabierają człowieka ze wsi, w której się urodził i poza którą świata nie widział. Z miasta nie dziw, że coś wywożą, ale we wsi zwykle wszystko tam padać, gdzie się urodziło. Jeżeli chłop boi się śmierci, to myślę — stoi mu przed oczyma własny pogrzeb, jak go ze wsi na marach niosą.

Widziałem w górach księdza, jadącego na koniu do chorego. Przed koniem szedł hucuł w furtzanym serdaku, choć dzień był upalny, i coraz

dzwonił. Na chudej szkapinie (widać chory ubogi) siedzi pochyło bardzo stary ksiądz w złocistem obleczeniu, sięgającym koniowi do kolan. Twarz zeschnięta, mała jak piąstka, a na niej wielkie siwe brwi; w ręku krzyżyk, na głowie czarny bercek — wiekowy, doświadczony staruszek. Niema dla niego drogi zbyt złej. Jedzie wolno, dzwonek oznajmia jego kroki. Snuje się w górę — ot już tam jest wysoko.

Gdzieżby śmierć nie dosięgła!

— — — — —

Widziałem też wesele.

Grupka gapiów stoi przed chatą. Pytam, co się dzieje. Wesele. Za godzinę przybędzie pan młodu na koniu, z друзbami, zabierze żonę do domu. A pokąd nie przyjedzie, weselą się goście w domu panny młodej. Oto ona sama z rozpuszczonym włosiem. Na głowie wieniec, rękawy szyte czerwono raz koło razu, koralí moc, buty z cholewkami z żółtego safjanu. Szczupła, brzydka, ręce koło siebie opuściła i snuje się między ludźmi, jak we śnie. Podobno bardzo płakała od rana — jakiś dramat rodzinny.

Na podwórku ruch. Grajkowie wyszli na ulicę, siedli na stołeczkach pod chruścianym płotem: chudy skrzypek cienko zaczął, a drugi dzwoni pałeczkami po strunach cytry. Gawiedź zapatrzona w grajków. Z dusznej chaty, gdzie zastawa we-

selna, wysuwają się postacie odurzone alkoholem. Niektóre twarze ekstatyczne.

Dwaj huculi wzięli się za bary i patrząc w ziemię wytupują przed grajkami drobniutko — próbują. Dobierają między siebie druha, pannę młodą, jakiegoś wielkoluda z długimi włosami i tak wiankiem żywym, trzymając się wzajem garściami za koszule na plecach, obracają się w kółko. Obok tworzy się inne koło. Rej w niem wiedzie niewiasta z twarzą sępa. Poodkładali kozuchy na płocie, rozgrzewają się muzyką — wsłuchani, w ziemię wpatrzeni, szukają zapamiętania. Jedni boso, inni w butach lub w cichych kierbciach, zagiętych jak sanice od przodu, i w ciepłych onuczach. Muzyka rytm wybija, a ciała drgają coraz automatyczniej, coraz głębiej zapadając w wir ruchu kolistego.

Ten i ów podnosi głowę, jak ptak, który pije w zdroju: śpiewa coś recitativo, splątana, szybką mową, jakby w wirze odnajdywał cień myśli i pragnął ją wypowiedzieć. Poczem zapada w wir, a nogi jedna obok drugiej drepcą, jakby wiele cepów jeden snop młóciło.

Niewiasta z twarzą sępa a ciałem pantery wyróżnia się. W jej kole coraz chyżej. Ciało jej pręży się, wygina w biodrach, elektryzuje innych, nawraca nimi. Śmiga na palcach, pomimo że bosa, a sąsiad rozbił butem palec. Broczy krwią na piasku, ale bólu widać nie czuje.

Taniec przeszedł w obrzęd zbiorowy, w prak-

tykę czarowania rytmem, wywoływania ducha, wspólnego ziemi i ludziom na spodach. Patrzajcie w duszę człowieka pierwotnego! Oto pierwociny natchnień poetyckich — oto pierwsze odruchy sztuki. Z takiego tańca, kolebki sztuk ruchowych, rozrosło się już na świecie wielkie drzewo tworów ducha, a tu jest on jeszcze wszystkim; nawet śpiewać nie umieliby tego, co świadomość wyłowi ze stanów rozkoszy.

Przedświadoma, śpiąca w mózgach pamięć jakiegoś wielkiego a dobroczynnego dla życia ruchu w naturze, który istnienie ich poprzedził, budzi się w świątecznym nastroju na głos muzyki rytmicznej. Uboga indywidualność, jak pąkowie kwiecica przelotnie żyjącego, rada ze sposobności rozkręcania się i zatracania w przyrodzie.

Oto hucuł tańczy, chwyta rozkosz estetyczną całym ciałem, roz tęsknionem do prabytu. Oszołomiony ruchem rytmicznym, ma przed oczyma duszy jakiś wielki lej żywiołu, zsuwający się w nieskończoność. Niesamowity, ekstatyczny nastrój, obcy obecności. Ktoś postronny, patrząc na to, doznaje niepokoju. Smutno mu i trwożnie wobec tego misterjum, którem człowiek, o krok widziany, aniby się podzielić mógł, ani chciał. Obcy czuje po chwili, że niedyskretnie jest podglądać tajemnicę tych istnień i usuwa się.

Oto czemu w życiu ludzi pierwotnych wszystko jest smutne: i pogrzeb i wesele. W świecie dusz

radosny widok daje dusza, którą ktoś posiada na własność, — zakończona świadomością indywidualność, władająca sobą. Człowiek pierwotny zaciera własną, nie widzi cudzej, — zatrze ją torem pędu biologicznego.

W oczach mam postać panny młodej, której dusza pewno dziwne sny w tańcu przebywa. Poruszona w dniu ślubu jej indywidualność, poskromiona w buncie, widzi — może — w głębinach wiru tanecznego jeden punkt nieruchomy, nęcący ukojeniem wiecznem dusze biedne...

— — — — —

Mógłby mnie kto zagadnąć:

— Cóż za użytek publicystyczny można zrobić z fakcików tak przyziemnych, jak owe wzięte z życia huculskiego? Etnografja!

— Nietylko etnografja! Miałby nad czem zastanowić się tam i socjolog i publicysta. Człowiek społeczny zaczyna się przy samej ziemi; tam jest nas najwięcej. Mówi się przecież za poetą: »Jest w ludzie siła niespożyta, zbawienie leży pod siermięgą«... Nie wszystko rozstrzyga się w sejmie, parlamencie lub na wiecu. Życie cicho, jak trawa, rośnie, cicho się rozkłada. Nawet skała bez katastrof wietrzeje, coś dopiero życie społeczne, oddane żywiołowi, nie zabezpieczone.

— Zapewne — powie mi kto inny. — Ale pisał pan niedawno o konieczności powrotu do

natury. Przyzna pan, że obrazki, które pan pokazał, nie są zbyt zachęcające do tego powrotu.

— Oczywiście. Nawet gotów jestem dzielić zdanie księdza, którego rozmowę przytaczałem, że huculi nie zdatni są do życia, że skazani są na zagładę.

A jednak nie trzeba tracić związku z naturą!

Hucuł jest u natury, że tak powiem, w niewoli tatarskiej, myśmy zaś wejść z nią powinni w stosunek konstytucyjny, zastrzegając »*habeas corpus*« dla swej duszy. Panować nad naturą, to nie znaczy tylko zwyciężyć przyrodę technicznie (hucuł potrafi radzić sobie z nią jako tako). Najtrudniejszą do opanowania jest przyroda, która w nas samych się objawia tak zwanymi głosami natury. Trzeba umieć żyć ze swymi instynktami i darami natury, szanować je jako naturalną podstawę swego państwa duchowego, ale gospodarować w nich według praw kultury. I to nawet w zakresie potrzeb fizycznych.

Miedzy wielu niesprawdzonymi aksjomatami powtarzamy twierdzenie: ludzie natury mają zapewnione zdrowie fizyczne, a nawet moralne. Tak nie jest. »Łono natury« jest bierne, samo przez się zdrowia nie daje; człowiek czynnie musi na niem się zagospodarować. Bo gdzież granica potrzeb ducha i ciała? Warunki istnienia na łonie natury są istotnie pomyślne, ale że barbarzyńca

jest zdrow, to jest takim p o m i m o, ale nie wskutek swego barbarzyństwa.

Hucuł, aczkolwiek dosłownie nie jest barbarzyńcą, żyje bardzo niehygienicznie. Nie mówię o takiej klęsce jak kiła, która go niszczy w pewnych okolicach kraju. Hucuł ma rzekę, ale kąpie się w niej tylko dzieci ze zbytków. Ma chatę w cudnem, pełnem ozonu powietrzu, ale tej chaty nie przewietrza, zatrzuwa się w niej. Nie wierzę, żeby higienicznymi były te ciężkie zawoje głów kobiecych, opakowanie wołokami nóg podczas gorąca, nawet tak podziwiane kożuchy (serdaki).

A moralność. Cóż bardziej prostego, jak stosunek syna do ojca? Zdawałoby się, że na łonie natury to przynajmniej jest czyste i pewne. Złudzenie! Popęd krwi nie jest wystarczającą podstawą moralności rodzinnej. Jak każdy popęd naturalny może on ulec łatwo byle jakiemu innemu. Po czem poznaje się duszę barbarzyńską? Po tem, że zostawiona jest wolnej grze popędów. Instynkt krwi musi być wcielony w złożoną konstrukcję psychiczną, gdzie się znajdzie pod kontrolą i powściągnięciem świadomości, obliczającej sprawę na długą metę istnienia. Nałogi moralne w kulturalnej, zautomatyzowanej duszy wytwarzają nowy (wyższy instynkt) — sumienie. Jest to siłomierz naszej moralności; po niem poznajemy: zło — dobro, grzech — cnotę. Hucuł, hołdujący wolnej miłości albo zasadzie zgładzania starców, zapewne w tych spra-

wach sumienie ma jeszcze głuche. Ale czy przez to moralność jego jest tyle warta, co nitzscheanisty, który na drugim biegunie kultury duchowej dosięgnął sfery »poza dobrem i złem?«

Kiedym chłopcu swemu wymawiał (po przytoczonym wyżej wypadku spicia się Wasyla w »jamce«), że złych sobie dobiera towarzyszy, bronił Wasyla bardzo rozsądnie: »Cóż on winien. On nie wie, że to grzech. Uczyli go, że nie wolno żabie dokuczać, bo wtedy matka umrze, ale o grzechu go nie uczyli«.

Wasył jest »poza dobrem i złem«. Ale jak dzisiejsza wspólnota gminna rosyjska nie jest kolektywizmem czasów przyszłych (jak się to wydawało oświeconym barbarzyńcom rosyjskim, »narodnikom«-socjalistom z przed paru dziesiątków lat) i trzeba wieków kultury w gospodarce indywidualistycznej, aby od tamtego naturalnego kolektywizmu dojść do podobnej zewnętrznie nowej koncepcji socjologicznej; tak też i z biegunami moralnej kultury: między jednym »poza dobrem i złem« a drugim leży cały świat kultury, ciężkich, wewnętrznych walk człowieka ze swemi popędami naturalnemi, aż do przesycenia ich intelektualizmem i estetyzmem.

Dopiero na drugim biegunie człowiek dostojnie wraca do natury, jako jej pan i wolny wyznawca.

Nic fałszywszego od pojmowania natury, jako

wartości dla ducha bezwzględnej, w stanie surowym, w stosunku bezpośrednim. W sztuce złudzenia artystów co do naturalizmu są objawem ich barbarzyństwa. »*Ars est homo additus naturae*«. Opisałem wyżej taniec hucuła. Od tego tańca, w którym człowiek młota się epileptycznie pod przymocą instynktu bez możliwości znalezienia intelektualnego wyrazu swemu pięknu, od tego tańca jakże daleko do pieśni, którą tworzy nasz krakowiak!

Należy tu zrobić nawiasem zastrzeżenie co do sztuki zdobniczej, rozwiniętej u hucułów.

W pierwocinach sztuk przestrzennych, jak snycerstwo, wypalanie na drzewie, malowanie pisanek, człowiek pierwotny może celować niezależnie od poziomu swej jaźni. Nie jest to sztuka, po której się poznaje dojrzałość duchową. Duch twórczy szczebluje w sztukach przede wszystkim ruchowych (jak taniec, muzyka, pieśń, poezja), w których składa dowód zdolności uprzedmiotowienia swoich stanów wewnętrznych. Wszystko inne może się rozwijać na gruncie naśladownictwa i wprawy bez udziału poezji. Hucuł robi ładne fajki, tkaniny, rzeźbi stoły, bo jak powiada Morris, mieszkaniec ładnych okolic musi robić sprzęty estetyczne. Hucuł jest także inżynierem, budowniczym — jak bobry i ptaki. Jak ptaki dziedziczą upierzenie, tak on dziedziczy sztukę zdobniczą.

— — — — —

Cóż się dzieje z huculem w regionach życia ekonomicznego, społecznego i politycznego?

Zbiorowa moralność, na której opiera się życie zbiorowe w społeczeństwie, wymaga odpowiednio zorganizowanej duszy w obywatelu. Typ dzisiejszego społeczeństwa, nawet w Galicji, nie jest oczywiście modelowany według umysłowości huculskiej, wogóle ruskiej. Nasz gmach jest dziełem oświeconych warstw polskich. Dramatem naszym jest zaniedbanie ludu, ale miejscami położenie jest nad wyraz tragiczne. Taki np. hucul znajduje się właściwie w gorszym, luźniejszym do społeczeństwa stosunku, niż zwierzyna w lasach. Nad zwierzyną rozciągnięta jest opieka, a huculi wyginą, jeśli dalej tak pójdzie, zanim drogą naturalnego rozwoju wciela się do organizacji społeczeństwa, jako jego czynniki twórcze.

Cóż z tego, że hucul obdarowany jest bogato od natury? Znalazł się jednak w tym martwym punkcie rozwoju społecznego, na którym się ginie, jeśli ktoś zzewnątrz sił nie doda. Ma przecież lud ruski swoich kierowników — powiecie. Tak, ale wrogom swoim nie należy życzyć takiego obrotu sprawy cywilizatorskiej, coś dopiero ludowi we własnym kraju.

Działacze ruscy są również ludźmi pierwotnemi, barbarzyńcami tem bardziej złowrogimi, że uzbrojonymi, jakby w nóż, w środki dialektyczne, w stanowisko, ambicje polityczne. Ich budowa intelek-

tualna nie znajduje równowagi w organizacji duchowej. Duchowo są dziećmi natury. Nie dają ludowi koncepcji złożonych, według których żyją społeczeństwa cywilizowane, wytykające sobie drogę na długą metę, ale grają na pierwotnych instynktach ludu, na tych instynktach, które trzeba dopiero przerobić w dobrej kulturze, aby były siłą społeczną. I sprawiają, że to, co mogło być siłą ludu świeżego, staje się jego słabością. Agitatorzy ruscy spekulują na słabości swego ludu.

Demokratą w świecie cywilizowanym jest ten, kto wchodzi w lud, aby go podnieść ku sobie; u Rusinów, w Rosji, a nawet i u nas w Galicji w sferach radykalnych uproszcza się sprawę — wchodzi się w lud, aby od niego brać pierwotne poglądy na sprawę społeczną, aby każde dążenie demokratyczne zwulgaryzować i w ostateczności nie podnosić społeczeństwa w kulturze, ale je, że tak powiem, schamić. Cokolwiekby się mówiło o przeszłości naszej, to jednak przyznać trzeba, że polskie stosunki kulturalne były jak tyki w chmielu, około których owijało się życie. Ruscy przodownicy lud swój gnoją, własnymi nogami tratują w błocie.

Dosyć posłuchać opowieści o tem, co robili z ludem ruscy kandydaci na posłów. Wiedząc, jaka jest elementarna żądza ziemi u chłopą, obiecywali im ziemię. Przyboczni sekretarze zapisywali z całym cynizmem nazwiska wyborców i cyfry, ile

który ziemi pragnie. Każdego zapewniano, że ziemię darmo dostanie. Syci swojej kariery posłowie ruscy pojechali do Wiednia, zostawiając lud ogłupiały od marzeń i żądz, pełen goryczy ku Polakom, którzy rzekomo nie pozwalają posłom ruskim wywiązać się z przyrzeczeń.

Inteligencja ruska patrzy na te operacje »polityczne« ze spokojem barbarzyńców, nie zdających sobie sprawy z krzywd wyrządzanych ludowi. Żeby to rozumieć, trzeba mieć sumienie społeczne wyuczzone w kulturze. Gdyby nie brak tego sumienia wśród oświeconych Rusinów, ludność wiejska nie marnowałaby tak swego dobytku. Cóż z tego, że »polityk« ruski obieca chłopu ziemię na księżycu, kiedy nauczyciel, ani ksiądz ruski nie nauczy go ziemi swej bronić od wyzyskiwaczy, a sędzia ruski nie zapobiegnie przejściu nieprawemu ziemi chłopskiej w ręce żydów.

Smutne opowieści, nieraz bardzo kompromitujące krążą o interesowności tych opiekunów ludu. Faktem jest, że połoniny nie należą już do huculów, że ziemia coraz szybciej wymyka się im z rąk; »opiekunowie« nie kształcą w ludzie cnót społecznych, na których dobrobyt materialny się wspiera, lecz owszem zainteresowani są w tem, aby lud jaknajdłużej pozostawał pastwą wolnej gry popełdów naturalnych.

Biedny człowiek natury, niezorganizowany wewnętrznie, nie przystosowany do złożonych warun-

ków życia społecznego, ginie w oczach, staje się pognojem spekulantów politycznych i kapitalistycznych. Jaki tylko ma w sobie instynkt naturalny, ten staje się jego nieszczęściem, przyczyną rozstroju. Nikt na nim nie buduje, ale wszyscy go ssą.

Wstrętny widok niedorozwoju i rozkładu życia nadorganicznego na łonie pięknej, wiele obiecującej natury!

— — — — —

Z przykładów tych widać, że natura w stanie surowym nie jest wartością bezwzględną dla świata, który człowiek wznosi na ziemi. Wartość bezwzględną ma tylko to dla człowieka, co zostało przerobione na jego wewnętrzną własność. Najbogatsze dary naturalne, źle użyte lub zostawione samopas, mogą się stać jego wrogiem, jeśli nad nimi nie zapanuje zorganizowaną myślą i wolą. Bez kompletnego zorganizowania władz ducha, (jakikolwiek byłby poziom naukowego oświecenia), nie możliwa jest równowaga jednostki w życiu społecznym. Taką równowagę ma już w wielu wypadkach ustalona chłop polski, społecznie poczytalny, panujący nad swemi popędami pierwotnymi, troskający się już o sprawę publiczną, obywatel.

Jakże inaczej dzieje się z człowiekiem natury bezbronny! Pokazałbym na okaz dorożkarza w Zabłotowie (parobka). Wiecie, jak wygląda? Niczem

nie różni się od fjakrów żydów; tak samo ubrany, mówi żargonem, tak jak oni gestykuje, tak samo bije konie. Ale jest chrześcijaninem, bo to Rusin-hucuł, ucywilizowany po miejsku.

Weźcie hucuła z połoniny, a wraz z serdakiem straci swój cień indywidualności i osobistej, i społecznej, i narodowej, nawet rasowej. Oto jak niepewne są dary naturalne, bez podmurowania kultury.

Człowiek natury jest piękny w poszczególnych motywach, ale całości przydatnej w życiu społecznym nie przedstawia. Trzeba go zrobić indywidualnością samoistną i dopiero wtedy powrócić naturze. Żadne dobro duchowe nie nadaje się do użytku w stanie kopalnym; staje się użytecznością dopiero po przeróbce wewnętrznej w tyglu kultury. Instynkt pierwotny musi być intelektualizowany, a nawet zestetyzowany, organicznie z innymi władzami zharmonizowany, zanim się stanie wartością moralną i społeczną.

A więc przez kulturę do natury!

Jakże poszukiwaną jest prostota towarzyska, a jak do niej daleko od prostactwa! Ile kultury dać trzeba śpiewającemu pastuchowi, aby z niego zrobić śpiewaka! A przecież głos, dany od natury, pozostał ten sam.

Nie wystarcza obywatelowi cnota przyrodzona w instynktach i zwyczajach. Cnotą obywatelską nie będzie np. miłość ludzi w stanie su-

rowym, objawiająca się w pierwotnej gościnności albo filantropji; miłość tę rozszerzyć trzeba, przerobić w złożonym aparacie pojęć i uczuć społecznych i dopiero po tej przeróbce wola jednostki, stale funkcjonująca w myśl interesu powszechnego, staje się obywatelską.

Łudzą się ci, którzy mniemają, że społeczeństwo można stworzyć środkami mechanicznymi, siłą pięści z jednej strony, a z drugiej darowaniami ustawami państwowymi. Społeczeństwo szczepi się w duszach obywateli i hodzi w długiej kulturze. Dopiero wtedy budowy społecznej nikt nie zakwestjonuje i nikt nie odbierze.

Na życie niezależne trzeba zasłużyć, to znaczy stworzyć je w sobie przedewszystkiem. Świat, w którym człowiek ze swoim duchem się obraca, jest dziedziną od natury wyemancypowaną. Powstaje on z opanowania darów przyrody i naturalnych popędów na pożytek nieskończonego w świecie ducha rozwoju.

Misterna budowa świata ludzkiego, gdzie już duch tworzy, nie może być powierzana wyłącznie surowym instynktom natury. Wsparłszy ten świat na fundamencie żądzy życia, konstruować go musimy w gotyckim stylu celowości. I tem jest on różny od świata przyrody, gdzie dla nas istnieje tylko przyczynowość.

Nie materiałem już jesteśmy przyrody, ale sami tworzymy nad nią nadbudowę, tworzymy nowe

słońce, słońce coraz płomienniejsze ducha twórczego. Potrzebna nam jasność, ciepło i lot twórczy słońca — duch prawdy, dobra i piękna, duch trójjedyny, organicznie zespolony, nie dający się pojąć i użyć w podzielności.

Jedno jest słońce w przyrodzie, jeden duch w świecie kultury — słońce przełamane w człowieku.

Veni Creator!



SPIS RZECZY.

Przedmowa	V—VIII
1. O kulturze duchowej	I
2. Moje kolendy	11
3. Bezwład ducha	23
4. Nasza nędza	35
5. Gorzkie żale	45
6. Na cmentarzu	53
7. Poczucie estetyczne żywej tradycji	63
8. Poczucie estetyczne osobowości narodowej	77
9. O zawodzie pisarskim	84
10. Sentyment w przemysle	110
11. Partykularyzm	118
12. O rąbaniu drzew i czapkach frygijskich	131
13. Naród się zgubił	142
14. O kulturze sumienia	153
15. O »panu postępowym«	168
16. Nieco o zmyśle samozachowawczym	178
17. Poczucie rozstroju	188
18. Głos komendy	199
19. Biurokratyzm	209
20. Trzeba chcieć żyć	221
21. Do słońca!	230

❑ WYCIĄG Z KATALOGU TOWARZYSTWA ❑

❑ ❑ WYDAWNICZEGO WE LWOWIE. ❑ ❑

	<i>K. h.</i>	<i>Rb. k.</i>
Balicki Z. Egoizm narodowy, II wydanie	1·20	—50
Błazek B. Studya psychometryczne	2—	—90
Brückner Al. Z dziejów języka polskiego	1·50	—65
Ceysingerówna H. Duchy żórawie	3—	1·50
Chwalibóg F. Humoreski	1·80	—90
Daszyńska Z. Przełom w socyalizmie	4·50	1·80
Dębicki Z. Ekstaza	2·60	1·10
— Noce bezsenne	2·60	1·10
— Święto kwiatów	2·60	1·10
— Ojciec nasz	1·70	—70
— Kiedy ranne wstają zorze	2 60	1 05
Dmowski R. Wychodźstwo i osadnictwo, część I.	2—	—90
— Myśli nowoczesnego Polaka, III wyd. po- większone	3·50	1·40
Ernst M. O końcu świata	1·50	—65
Gall J. 150 pieśni, część I. na chór męski	7—	2·80
— 150 pieśni, część II. na chór mieszany	7—	2·80
Gargas Z. Teatry chłopskie	1·20	—50
— Poglądy ekonomiczne	4—	1 80
Goszczyński S. Pisma, tom I.	3—	1 20
— Pisma, tom II.	3—	1·20
Grzegorzewski J. Z pod nieba wschodniego	5·20	2·40
Grzegorzewski St. Wspomnienia osobiste z 1863 r.	3—	1·20
Janowski. Hodowla nasion	1·20	—75
Karłowicz J. O człowieku pierwotnym	2—	—80
Kasprowicz J. Bunt Napierskiego	3·20	1·80
— Prolog	1—	—40
— Wybór poezyi	3—	1·50
— Poezye, wydanie nowe	3—	1·50
— Krzak dzikiej róży, II wydanie	3 60	1 45
— D'Annunzio. Franceska z Rimini	5·60	2·80
— Maeterlinck. Siostra Beatryks	2—	—80
— Próby angielskiej poezyi dramatycznej	3·60	1·50
— Swineburne. Atalanta w Kalydonie	3·60	1·50
— Shelley. Rodzina Cencieh	3·60	1·50
Kisielewski J. A. O teatrze japońskim	1·50	—50
— Sonata	3—	1—
— W sieci	4—	1·50
— Ostatnie spotkanie	3 60	1 50
— Karykatury	3·60	1·50
— Panmusaion	3 20	1 30
— Życie dramatu	4 60	1 85
Kłośnik Z. Japonia	3—	1·30

